

Edward Balcerzan

Zmiana stanu

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 2, 1-6

1990

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

teksty

D R U G I E

2
1990

Dwumiesięcznik
Instytutu
Badań
Literackich
PAN

TEORIA LITERATURY KRYTYKA INTERPRETACJA

Zmiana stanu

Co się zmieniło? W nas, w naszej świadomości, w badaniach literackich w ciągu tych niemych lat (między zerwaniem linii życia „Tekstów” a ich mozolnym wskrzeszaniem), czy zmieniło się coś istotnego? Przyglądamy się sobie uważnie, rozglądamy się dookoła, chcemy wiedzieć: co teraz będzie, jak się porozumiemy. Oczywiście, trochę koloryzuję, aż tak źle nie było, i po grudniu 81 jakoś się porozumiewaliśmy, w niektórych kwestiach nawet dokładniej niż przed grudniem, ale były to kwestie moralne, honorowe, obywatelskie, bardziej polskie niż polonistyczne...

No a w Polsce? Najlapidarniej ujął osobliwość naszej sytuacji Miron Białoszewski w Kabarecie Kici Kici:

w Polsce zawsze były trzy stany: przedwojenny, wojenny i powojenny.

Wtedy trwał „środkowy”, teraz jest ten trzeci. Reorientacje w obrębie dyscyplin polonistycznych odbywały się w dużej mierze pod wpływem okoliczności zewnętrznych, pozanaukowych i pozaliterackich. W ostatniej dekadzie realnego socjalizmu w Polsce myśl literaturoznawcza nie potrafiła (nie chciała?) odizolować się od metafizyki życia zbiorowego. O wyborach znawców twórczości pisarskiej decydowała współczesność ideologiczna, poszukiwania w kręgu historii literatury czy poetyki były uzależnione od polityki.

„Poetyka i polityka” — taki temat sesji naukowej wymyśliliśmy w Ryńcu pod Warszawą, w czasie trwania jubileuszowej, dwudziestej Konferencji Teoretycznoliterackiej. Była wiosna, ciepło-zimny kwiecień 1981 roku, niesłychanie nerwowo. Polityka już wtedy przesłaniała poetykę, z głośników i gazet atakowała salę obrad, wdzierala się do naszych rozmów w stolówce, włokła

się za nami krok w krok betonowym nabrzeżem w czasie przerw spacerowych, i zaiste, silniej niż rywalizacją hermeneutyki ze strukturalizmem żyliśmy ogólnonarodowym napięciem: „wjadą, czy nie wjadą”. Wiedzieliśmy, że z referatami o politycznych nacechowaniach literatury musimy się śpieszyć i że możemy nie zdążyć. Wyścig z czasem mobilizował także inne imprezy o podobnych celach: w styczniu 1981 roku „Solidarność” Wydziału Filologicznego UJ zorganizowała w Krakowie sesję poświęconą nowomowie, w październiku tegoż roku, w Instytucie Badań Literackich w Warszawie, Janusz Sławiński i Roman Zimand otwierali rekonesansową konferencję o literaturze „źle obecnej”. Trzeba było korzystać z przerw w socjalizmie.

Jakoż nie wszyscy pragnęli radykalnego odtrącenia tematów i wątków, które wcześniej zajmowały badaczy. Niektórzy (należałem do nich) sądzili, że można łączyć nowe z dotychczasowym, wchłaniać przelom nie niszcząc ciągłości. Ktoś rzucił pomysł, by po „poetyce i polityce” zacząć rozmyślać nad „poetyką i erotyką” — tematem poruszonym kiedyś w monograficznych zeszytach „Tekstów”, a przecież nie do wyczerpania, wiecześnie intrygującym badaczy kultury. Wywołało to namiętny sprzeciw części środowiska, w tym jednego z moich obecnych kolegów redakcyjnych. Erotyka? Wykluczone! To by było po ICH myśli, dowodzili przeciwnicy, ONI tylko na to czekają, byśmy się zagrzebali w semiotyce łóżka, utonęli w fenomenologii dotyku i nie przeszkadzali Kierowniczej Roli. Stanowiska polaryzowały się i radykalizowały. Obroncy tematu utrzymywali, że nadzorców trzeba ignorować, robić swoje, zachowywać się niby aktorzy na scenie z „czwartą ścianą”, a więc tak, jak gdyby Kierowniczej Roli w ogóle nie było. Natury skłonne do dyplomatycznego kompromisu próbowały pogodzić strony zastępując „erotykę” — „miłość”, co burzyło instrumentację głoskową w nazwie planowanej konferencji, ale otwierało drogę dla prac o miłości do ojczyzny i do Boga. Lecz imię Boga wzywano nadaremno, za późno, sprzeciw okazał się nieprzejednany, pomysł padł.

Opowiedziany tu epizod z życia wewnętrznego polonistyki stanowi charakterystyczny symptom zmiany, a dokładniej — ciągu zmian i przeobrażeń wiedzy o literaturze. Nie sposób ustalić dokładnej daty przelomu, był on bowiem długotrwałym procesem. Można przyjąć umownie, że najwcześniej zaczęło się w krytyce: od 1976 roku, gdy wraz z „Zapisem” powstał drugi obieg. Nowe tematy, wyzwalające się spod nadzoru cenzury (w publikacjach niezależnych) i zmuszające cenzurę do ustępstw (w tekstach kontrolowanych), stopniowo wkraczały do całego literaturoznawstwa — pojawiały się w polu widzenia historyka literatury, określały nowy sens poczynania teoretyków i metodologów. Formowały się nowe relacje między twórczością

literacką a refleksją o literaturze oraz nowe zależności między podstawowymi dziedzinami literaturoznawstwa: krytyką, historią i teorią.

W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych wzorem i autorytetem była teoria. Ona to decydowała o języku badacza, rozdzielała instrumenty, operowała światłem poznania. Na niej uczono się sztuki interpretacji, z niej wyprowadzano porządkie zewnętrzne i wewnętrzne w opisach dawnych epok. Ku niej zmierzała krytyka: potwierdzając i naśladowując język nauki. Krytyk, pisał zrozpaczony Tomasz Burek, albo milknie, jeżeli wie, że nie potrafi sprostać wymogom mowy uczonej, albo traci suwerenność i „próbuję mówić językiem swego utytułowanego zwycięzcy — profesora doktora habilitowanego”.

W rezultacie:

Badacz uzbrojony w aparaturę literaturoznawczą, zakuty w pancerz metodologicznej poprawności, wsparty autorytetem którejś z wpływowych teorii naukowych, góruje dziś zdecydowanie nad staromodną postacią filozofującego dyletanta, intuicjonisty i improwizatora, szamana, wróża, malkontenta, wynajdywacza dziury w całym, to znów entuzjasty idei nowoczesnych, mądrości podejrzanym, książek dwuznacznych albo wręcz nie istniejących. Jednym słowem, stateczny uczony jakoby słusznie zawstydza wiecznego hazardzistę i uzurpatora w świecie intelektu.

Słowa te pochodzą z artykułu pisanego w latach 1981—83; w odczuciu Burka jeszcze na początku lat osiemdziesiątych panowało „stare”. Dziś jest na pewno inaczej! Wszystko się podwracało, wycinowało, przemiażdżyło. Teoria została zdetronizowana, berło władzy znalazło się w rękach eseistów, felietonistów, pamfletistów, ekscytarzy. Krytyka — wyzwolona spod presji teorii, skutecznie odhipnotyzowana i odmagnetyzowana — przeniosła się w pobliże publicystyki. Spotęniały dwa żywioły: m o r a l i z m u i m a r k e t i n g u. Krytyk moralizujący, nieprzejednany w piętnowaniu upadków pisarskich, demaskujący podłości i hańby literatury PRL, socrealistyczne i późniejsze, cudze i raz po raz nawet osobiste, spotyka się z krytykiem-przedsiębiorcą, komiwojażerem, kimś trzeźwo kalkulującym: tak, by utrzymać się na wzburzonej powierzchni kultury masowej, nie zginąć wśród mocarniejszych rekinów i obrotniejszej piranii. Dla moralisty publiczność to jakby ława przysięgłych, dla przedsiębiorcy — tłum w supersamie. Te przeciwieństwa (jak to przeciwieństwa) przyciągają się i łączą, nieraz etyka służy tylko do wyrobu etykietek dla pozyskania nabywcy, a kiedy indziej, z braku atrakcyjnej etykiety, nie potrafi się przebić przez rynek. Dużo w tym maskarady. Obok krytyki bezpośrednio eksponującej „ja” eseisty pojawia się różnorodność form krytyki pośredniej, rzecz by można „krytyki roli” i „krytyki maski”. Maską staje się kod czy gatunek nieznanym praktykom eseistycznym (na przykład hasło w przewodniku encyklopedycznym). Moralizm, marketing,

maskarada — oto nowe, charakterystyczne dla końca wieku, radykalnie anty-Peiperowskie „trzy M” naszych dni!

— „Czy jesteś zadowolony” — zapytałem niedawno Burka — „że krytyka pożarła naukę?”

— „Nie o taką krytykę mi chodziło” — odpowiedział autor *Żadnych marzeń*. Tak czy inaczej pożarła. Nie jest to zwycięstwo jakichś konkretnych autorów czy dzieł, jest to triumf postawy krytycznoliterackiej, a zarazem jej upodobań oraz swobód stylistycznych.

Odnosi się to do sytuacji dyscypliny w kraju. Na obczyźnie zawsze było tak, jak się u nas dopiero zaczyna. Tam od początku, w latach powojennych, rozwijała się sztuka konwersacji eseistycznej, a inne gałęzie wiedzy literackiej kwitły w jej cieniu cherlawo. Udział polskiej emigracji w życiu doktryn metodologicznych Zachodu nie należy do osiągnięć znanych — inaczej niż udział Rosjan — a dumne oświadczenie Witolda Gombrowicza, że to on wynalazł strukturalizm, dotyczy pewnej wizji świata, nie metodologii.

Co z historią literatury? Reaguje na wstrząsy społeczne wolniej niż krytyka, anachroniczne metody przechowuje nieraz bardzo długo. Ale i tu można zauważyć zmianę. Najpoważniejsze transformacje czy transgresje pojawiają się na granicy krytyki i historii, zrazu w odniesieniu do tematów dwudziestowiecznych, które już to nie mogły się do niedawna przebić przez kordon cenzorski, już to przebijaly się okaleczone. Na tym pograniczu sytuują się m.in. szkice wydawane przez londyńską „Polonię” w serii *Wokół literatury* — głównie autorów krajowych (przykładów jest więcej). Otóż odkłamywanie historii najnowszej promieniuje na całą wiedzę o przeszłości polskiej sztuki słowa. Każdy powojenny tekst historycznoliteracki z obiegu oficjalnego znajduje się w stanie podejrzenia: był przecież pisany w warunkach ograniczających prawdę. Każda wizja czeka na rewizję.

Wzorem krytyki — wsłuchanej w kulturę masową — historia literatury zaczyna coraz usilniej zabiegać o publiczność. Śmieiej wartościuje, jawniej liczy się z dzisiejszymi normami ocen, szybciej reaguje na grę koniunktury. Przemawiać chce barwniej — powieściowo czy reportażowo, poetycko bądź eseistycznie, czasami odświeża style staroświeckie, wypędzone kiedyś z literaturoznawstwa przez metodologów awangardy naukowej, a wciąż mające swych wdzięcznych wyznawców (widać to zwłaszcza w rozkwicie detektywizmu biografistyki).

Wreszcie teoria. W pracowni teoretyka literatury i metodologa badań literackich także pojawiają się znaki, które wróżą przemianę. Teoria literatury była w Polsce przez długie lata dziedziną energicznie uprawianą. Niejeden jej koncept uzyskał postać krystalicznie czystą, doskonale komuni-

katywną, stał się składnikiem kultury literackiej (oświeconej części publiczności), znalazł się w programie zajęć szkolnych. Mam na myśli zwłaszcza popularne „trojaczki” i „czworaczki”, czyli Zarys teorii literatury oraz Słownik terminów literackich znanych autorów. Używając rozróżnień Jurija Lotmana należy powiedzieć, iż liczne kategorie teorii literatury opuściły terytorium wiedzy naukowej i znalazły się w przestrzeni wiedzy pozanaukowej. Utraciły blask tajemnicy, przemieniły się z pytań — w odpowiedzi.

Owszem, rodzą się nowe idee, formują nowe języki metodologiczne. Głównie poza granicami Polski. Z naszej perspektywy wydają się nierzadko ciałami dziwnych galaktyk, krążą wokół sensów jakże abstrakcyjnych, pośród wartości odległych od komunikacji literackiej, i można odnieść wrażenie, że tylko dla siebie stanowią uchwytą realność. W tych galaktykach teoria literatury ulega rozpadowi. Staje się albo teorią teorii, albo literaturą literatury. Zajmuje się już to wyłącznie sobą, już to parafrazą dzieł i stylów artystycznych (= reguły zresztą po to, by znaleźć w nich lustro dla siebie) — aż do granicy, poza którą możliwa jest tylko (jawnie postulowana) destrukcja utworu, gatunku, epoki. Myśmy dążyli do nauki jako rekonstrukcji tekstu, rzecznicy nowych prądów chcą usankcjonować dekonstrukcję. Przepaść nie jest nie do pokonania. Strukturalizm był uogólnieniem pewnych doświadczeń pisarskich i czytelniczych, rezultatem ich selekcji. Poststrukturalizm czy dekonstrukcjonizm to również rezultat selekcji i uogólnienie praktyki. Są to dwie sprzeczne ideologie literackie. Kiedyś dojdzie do dialogu, złagodzenia napięć; dziś wyczuwa się przede wszystkim wrogość. To osłabia teorię, jej prestiż.

Nie tak dawno wydawało się, że nowoczesna teoria literatury stanowi warunek narodzin oraz pomyślności nowoczesnej historii literatury. Trudno było mówić o rozstaniu obu dziedzin (to jakby dusza rozstawiała się z ciałem). Dziś rozstania są częste, i nic, żyje się dalej — połowicznie. Oto wydana pod koniec minionego roku książka Henryka Markiewicza *Literaturoznawstwo i jego sąsiedztwa*, która jest jawnym

pożegnaniem z dociekaniem teoretycznoliterackimi. Badaczowi starszego pokolenia — wyjaśnia profesor — coraz trudniej bowiem uprawiać teorię, nie tylko zmienia się ona szybko i gwałtownie, ale daleko odeszła od tych jego założeń i reguł myślenia, z którymi zerwać nie potrafi i nie chce.

O sytuacji dyscypliny można mówić, gdy istnieje dostęp do prawdy tekstów i do prawdy zamierzeń. Książka Markiewicza spełnia obydwa warunki, ale jest świadectwem wyjątkowo rzadkim. Tak wiarygodnych i jasnych świadectw badawczego samopoczucia mamy doprawdy niewiele. Mało było okazji, by dawać takie świadectwa, nieczęsto pytano nas o samopoczucie

zawodowe (jeżeli już — to o środowiskowe, a bezustannie o obywatelskie). Różnienie w sytuacji zaczynamy w niedostatku wiadomości — także na temat tekstów, gdyż to, co znamy z druku, może być już przedawnione, a to, co wyraża aktualność, czeka i długo jeszcze będzie czekało na druk. Trzeba tedy korzystać z dowodów pośrednich, salwować się ucieczką w dziedziny sąsiednie, wróżyć z analogii. Otóż wydaje się, po pierwsze, iż, mimo tak ostre różnice, istnieją zastanawiające podobieństwa między stanem dyscypliny w Polsce a stanami tejże dyscypliny za granicą. Wszędzie rysuje się odwrót od poetyki, rezygnacja z dziedzictwa formalistycznego, a więc z wyjaśnień, jak jest zrobiony utwór. Chodzi w nowych tendencjach o to, by mówiąc o literaturze — mówić o wszystkim prócz niej. Dominuje ogólna teoria wszystkiego. Szkoła tartuska zajęła się neurofizjologią mózgu, szkoły polskie — Polską. I po drugie: proces analogiczny da się zaobserwować w ewolucjach literatury. Nurty zwane autotematycznymi czy metodologicznymi stanowiły kiedyś echo, mutację, a zarazem impuls teorii literatury, były pisarskimi formami istnienia tej dyscypliny. Dziś? Od jakiegoś czasu autotematyzm przestaje być sposobem na powieść, nie rodzi nowej estetyki narracyjnej, a jeżeli refleksje literaturoznawcze twórców nie giną w dziełach autobiograficznych typu dziennikowego, to z reguły łączą się z dyskursem krytyczno-literackim, nie teoretycznym, wspierają krytykę, towarzyszą jej triumfom. Sytuacja przypomina wczesne lata sześćdziesiąte. Tak już było. Trzydzieści lat temu. Po krachu socrealizmu, w pierwszych latach pierwszej odnowy. Wtedy także śledziliśmy impet krytyki, jej wpływ na historię literatury, odwroty teorii literatury od literatury. Trzeba było odtworzyć teorię, uporządkować kwestie najzupełniej podstawowe. Kim jesteśmy, co jest naszą powinnością, jakim mówimy językiem w pracach literaturoznawczych?...

Wtedy się udało.

Poznań, luty 1990 r.

Edward Balcerzan

P.S. Źródła cytatów: T. Burek, Żadnych marzeń, w serii: Wokół literatury, Londyn 1987, s. 18—19; H. Markiewicz, Literaturoznawstwo i jego sąsiedztwa, Warszawa 1989, s. 5.